

MAR 2 1918

JUN 15 1920

JUN 26 1921

AUG 25 25

2. 28. '31

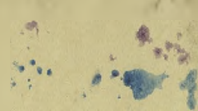
JUN 11 '37

OCT 24 '41

011

5

J 5



2

P. 805



KARTKI

SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNE

BULZELC

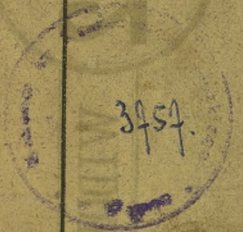
zebrał

ALFABET.

WILNO.

Drukiem J. Blumowicza,
Rudnicka, d. ks. Ogińskich.

1881.

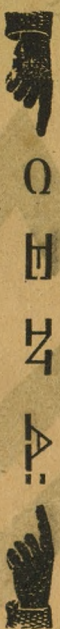


ON DUBIOTA 1881

Nakładem księgarzni F. Orzeszkowej i Spółki

W Y S Z K I Y

WIDOKI WILNA I OKOLIC



Format wizytowy	k. 20
” gabinetowy	” 50
” większy	r. 1 —
Album, złożone z 12 widoków (form. wizyt.) w ozdobnej teoczce	” 2 ” 50

Wkrótce wyjdzie z druku:

KALENDARZ WILEŃSKI

NA R.

OZDOBIONY 12-ma

1882

WIDOKAMI WILNA.

BODZIEC.

Powiedział pewien filozof wielki,
 (A był on pono uczciwa dusza),
 Że tak zwierz każdy, jak człowiek wszelki,
 Tylko za sprawą bodźca się rusza;
 Gdyby nie bodziec, to świat szeroki
 Wkrótceby sobie odleżał boki.
 Różne, co prawda, bodźce są w świecie,
 Lecz, że filozof ów miał sens w głowie,
 Że widział jasno, tego mu przecie
 Nie zaprzeczycie chyba panowie.

Dosyć jest spojrzeć na Fredzia, Frania,
 Chłopcy wymokli, zmęczeni, bladzi,
 Na cienkich nóżkach każdy się słania,
 Mimo to jednak bardzo są radzi,
 Gdy im kto banczek ciągnie do rana,
 Dla nich tym bodźcem bywa... wygrana.

No albo Józio, w długach po uszy,
 Cóż już bąkają o subhastacyi,
 Jednak bez dryndy on się nie ruszy,
 A bez szampana nie zje kolacyi;
 On zawsze pierwszy, gdzie szyk - hulanka,
 Dla niego bodźcem jest... rola panka.

Albo Anielka, cicha jak jagnię,
 Skromna jak dziecię, niewinność sama;
 Do wszelkich zasad łatwo się nagnie...
 Jednak wie o tém, nie tylko mama,
 Że się panienka djablo zwycięża,
 Gdyż bodźcem dla niej jest... złapać męża.

Wśród massy bodźców rozlicznej treści,
 Z ruchem życiowym mających związek,
 Jeden się u nas zbyt rzadko mieści,
 A imię jego jest... obowiązek;
 I choć umiemy wiele w potrzebie,
 Ale, niestety, tylko dla... siebie.

Alfabet.

MORALNOŚĆ PRZEDĘ WSZYSTKIEM.

Mówcie sobie co chcecie, wszystko złe wynika
 Z zaniedbania zupełnie zasad moralności;
 Każdy, póki się dają, stara się drzeć łyka,
 Kocha siebie, nie pomnąc wcale o ludzkości.
 Niech się nikt w egoizmie brudnym nie zamyka,
 Wtedy pomyślność pewno u wszystkich zagości;
 Dla idei interes poświęcić wypada,
 Moralność przede wszystkim—to moja zasada.

Syn mojego sąsiada, biednego szlachcica,
 Zakochał się w mej córce, coś przed dwoma laty;
 Wierzę bardzo, bo dziewczę jest gładkiego lica,
 I panicz wiedział dobrze, że jestem bogaty.
 Lubili gruchać czule przy świetle księżycy,
 Bo panna obojętną nie była zakaty;
 Ale oko mam bystre, zemną trudna rada,
 Moralność przede wszystkim—to moja zasada.

Przepędziwszy panicza, aż kędy pieprz rośnie,
 Dałem córkę co prędzej za mąż prezesowi;
 Nie bardzo już jest młody, w sześćdziesiątej wiosnie,
 Lecz, jeśli ogólnemu mam wierzyć głosowi,
 To będzie senatorem.—Tylko coś załośnie
 Zosia wygląda,—chyba Meran ją uzdrowi;
 Nawet czasem krwią pluje, kaszle, smutna, blada,
 Lecz moralność rzecz główna—to moja zasada.

Szkolny niegdyś kolega, dziedzic Wilczej-Dziury,
 Prosił mię o pożyczkę,—nie łatwa odmowa;
 Pożyczyłem, dwudziesty procent wzięłem z góry,
 Termin minął, a szlachcic nie dotrzymał słowa.
 Nie życzę z was nikomu tak miękkiej natury,
 Jak moja! Nierzetelność—recz wcale nie nowa—
 Szlachcic błaga o litość i nędzą się składa.
 Lecz moralność rzecz główna—to moja zasada.

Zlicytowałem wioskę, nie mogłem odwlekać,
 Dwieście rubli straciłem,—szlachcic umarł z smutku;
 Ale mojaż w tém wina? miałem dłużej czekać,
 Żeby procenta rosły i ciągle bez skutku
 Dopominać się, potem na losy narzekać,
 I ze spuszczoneym nosem siedzieć pocichutku?
 O nie! Fiat justitia; czułość nic nie nada?
 Moralność przede wszystkim—to moja zasada.

Niedawnom dom pożyczki otworzył w stolicy,
Ssuda dzień, jak go tam w Rosyji nazywają;
 Dobrodziejstwo dla biednych! biedni urzędnicy,
 Podupadłe rodziny, ratunek w nim mają.
 Czerpiąc hojnie pod zastaw z tej mojej skarbnicy,
 Pół złotego od rubla miesięcznie mi dają;
 Prawda, że to z mej strony uczynność nie lada?
 Moralność przede wszystkim—to moja zasada.

A. Żelężniak.

CUDOWNE RZECZY.

Panowie! jestem prorokiem,
 I widzę wszechwiednóm okiem:
 Jak przyszłość rany nam leczy,
 Cudowne rzeczy.

Poetów nie zliczy więcej
 W kraju, nad pięć-sześć tysięcy;
 Dziennikarz będzie zasady
 Czczył, jak obiady.

Krytyk, nim kogo przywita
 Kamieniem—dzieło przeczyta;
 A kupiec da nam towary,
 Rzetelnej miary.

Lekiem będzie puhar wina,
 Zbankrutuje medycyna;
 Zgoda sprawy porozplata,
 Bez adwokata.

Mężowie ze szkiełkiem w oku,
 Przestaną błdzić o zmroku;
 A wdówki, panienki, żony,
 Utną ogony.

Młodzieżą zapał owładnie,
 Kasyer kasy nie okradnie;
 Znikną lichwiarze, dewotki,
 Własnie i plotki.

W Krakowie hrabia mir straci,
 A Warszawscy literaci
 Nie będą nam jako pawie,
 Lecz ludźmi prawie.

Ludzkość zrzuci hełm i pikę,
 Autor chwyci gramatykę;
 I będzie miał—słuchać proszę—
 Własne trzy grosze.

Szambelani, marszałkowie,
 Frejliny, pазie, królowie.
 Będą-li z tradycyi znani,
 Albo wypchani.

Cnota dostąpi uznania,
 Miłość powróci z wygnania;
 Prawdę jawnie będzie można
 Głosić... zostrożna.

Prawo zapanuje wszędzie,
 Tak to, tak, na świecie będzie,
 Panowie! za lat najwięcej:
 Dziesięć tysięcy.

M. Rodoć.

Cztery pory roku.

Wiosna.

Lato.

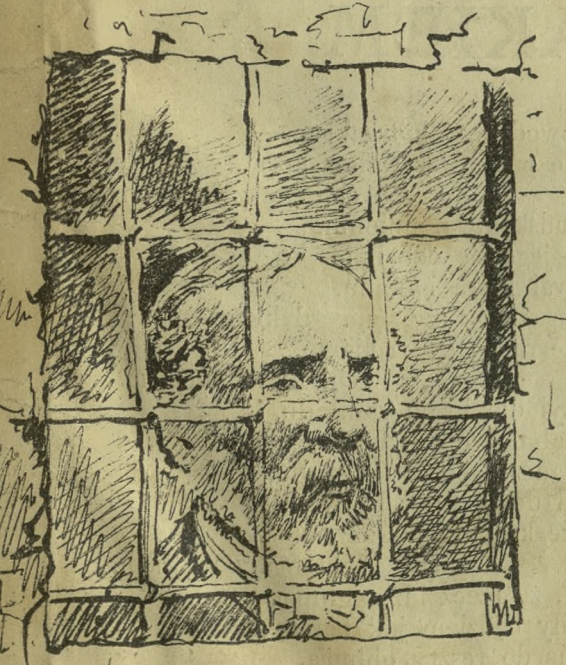


Kiedy byłem jeszcze Abkie,
Ja już wtedy miałem spryt
Gane git.
Pierników, apetycy, jabkie,
Potrafiłem kupic z kosz
Bez grosz.

Potem, gdy zostałem Ablik,
Byłem sobie taki frant,
Jak grant.
Znałem wszystkie dame - djablik,
Placąc grubo za ich szpiew
I... tref.

Jesień.

Zima.



Gdy wiszedłem na Abela,
Ja za fałsz bumazkies szpas
W koza wlaz.
Nu, ale to bagatela,
Takie rzecz nie psuje ład
W nasz szwiat.

Dzisiaj Bertram jestem sobie,
Z filantropii wszystkim znan
I pan.
Mam bank, w którym co chcę robię,
I tylko mi tego wstyd,
Com żyd.

Z SĄSIĘDZKICH POGAWĘDEK.

Sąsiedzie, miły bracie,
 Żle dzieje się na świecie;
 Tak zmądrzał świat, że głupich
 Ze świecą nie znajdziecie.

A mądrzy, mierząc wszystkich
 Wielkości własnej skalą,
 Dla siebie tylko piszą
 I siebie samych chwala.

Za pióro każdy chwyta,
 Pracuje!... zewsząd słyszę;
 Pracuje ten, kto czyta,
 A nie zaś ten, co pisze.

I pocóż to, sąsiedzie,
 Do gwiazd rozmierzać drogę?
 Ani kto tam pojedzie,
 Ani liczb sprawdzić mogę.

I—słyszał pan dobrodziej—
 Zmyślono temi laty,
 Że człek z małpy się rodzi—
 Piękne mi antenaty!

Historja uczy święta:
 „Bóg stworzył ród człowieczy“—
 Kto czasy te pamięta,
 Niech sobie temu przeczy.

A z gazet—żona czyta—
 Któż dziś się czego dowie!
 Poczemu becзка żyta?
 Kto wojnę gdzie wypowie?

Dla czego chleb drożeje
 Z dnia na dzień, grosz po groszu!
 Nic z tego!... miesiąc cały
 Pisali o... Długoszu...

Że umarł przed wiekami...
 No, toć nie zmartwychwstanie;
 Co mi tam Długosz jakiś—
 Nie znałem... świeć mu Panie!

Powieści, przyznać trzeba,
 Czytuję sam z zajęciem;
 W niedzielę, gdy deszcz pada,
 Z wieczora przed zaśnięciem.

Ba—częściej, powiem szczerze,
 Gdy co mnie rozciekawi,
 Choć nie w jednakej mierze
 W powieści wszystko bawi.

Tylko, gdy w dyalogu
 Napotkam znane żale;
 Ludzkości! ciepła! światła!
 To już nie czytam wcale...

Albo, jeżeli wiersze
 Na któreś dojrzę stronie,
 Wnet numer nierozcięty
 Oddaję mojej żonie....

Lecz, co tam mówić o tém, —
 Żle, bardzo źle, sąsiedzie!
 Ot powiedz też mi lepiej:
 Czy sypiasz po obiedzie?

C. J.

FIGA Z MAKIEM.

Dawał, wspierał, był aniołem,
 Dokąd miał złoto i włości;
 Fortuna toczy się kołem,
 Zwróciła się i doń rakiem—
 Pewnie tył z ludzkiej wdzięczności...
 Ach! figa z makiem.

Prawda, że bez gotóweczki,
 Lecz rozsądna, gładka, biała,
 Słodka, oczka jak tarczki...
 W sercu litość nad biedakiem...
 Pewnie chłopców rozkochała—
 Ach! figa z makiem.

Miał sklep i tysiączków parę;
 Według przykazania nieba
 Dawał wagę, dawał miarę,
 Wśród kupców był jedynakiem...
 Pewnie dorobił się chleba—
 Ach! figa z makiem.

Miał sprawę czystą jak słońce,
 Z labiryntem—procedurą,
 Wziął obytego obrońcę,

Bił dowodem, jak tasakiem,—
 Pewnie wyszedł z sądów górą...
 Ach! figa z makiem.

Nie nadskakiwał nikomu,
 Pracy jego się dziwiono:
 Pilnował biura i domu,
 Zawsze szedł uczciwym szlakiem—
 Pewnie radcą go zrobiono...
 Ach! figa z makiem.

Walczył dla kraju zamłodu,
 Cierpiał niewolę i pęta;
 Doświadczył chłodu i głodu,
 Wrócił do domu żebrakiem—
 Pewnie kraj o nim pamięta...
 Ach! figa z makiem.

Wołał, że rzecz idzie głupio,
 Że, gdy będziem jak barany,
 To nas do reszty obłupią,
 Że świat bawi się polakiem—
 Pewnie został wysłuchany...
 Ach! figa z makiem.

M. Rodóć.

ILLUSTRACYE
do poezyj **Sotera Rozmiara Rozbickiego.**



I nie było w świecie
Dwóch gołąbków przecie,
Któreby się
Kochały się,
Jak my się
Kochamy się...

DO ZENONA C.

DOKTORA OKULISTY.

Zacny doktorze! wielka chęć mię bierze,
 (Jakkolwiek leczysz wszystkich golców gratis),
 Tak bez ogródki, otwarcie, a szczerze,
 Palnąć ci krótkie verba veritatis;
 Za to, że, mimo twój rozgłosnej famy,
 Taką moc jednak chorych oczów mamy.

Naprzykład pan A. ma wzrok tój natury—
 Patrzeć na innych może tylko z góry,
 Albo z ukosa, — ten defekt uparty
 Zmusza go ciągle nosić nos zadarty.

No albo pan B., co ma kiesę złota,
 Mówią, że z oczów patrzy mu głupota;
 Wszak, gdyby nie wzrok, byłby mędrceem może,
 Któż winien temu? szanowny doktorze!

C. miał ból w oczach rodzaju takiego:
 Widział - li tylko jak okpić bliźniego;
 Owóż, gdy zgołał, że mu łokcie świecą,
 Od tego czasu przejrzał jaśniej nieco.

Pani D. taką wadę ma we wzroku,
 (Najbardziej pono widoczną o zmroku),
 Że choć się stara, choć się przewycięża,
 Częstokroć wpada w objęcia... nie męża.

Pan E., gdy bierze—widzi doskonale,
 Gdy musi wydać—nic nie widzi wcale;
 Wada to oczów, — lecz z tego powodu,
 Leżąc na skarbach, może umrzeć z głodu.

Pan F. milutkie posiada wejrzenie:
 Ma czyste oczy i czyste kieszenie;
 Lecz, chociaż ciągle ma wzrok wyteżony,
 Nie może znaleźć z kapitałem żony.

G., młoda panna i nadzwyczaj miła,
 Na łyżwach wielce ślizgać się lubiła;
 Lecz, że wzrok słaby przykryła zasłoną,
 Więc się zanadto pośliznęła pono.

Pan H., co wyższych warstw słabostki badał,
 Mimo, iż bystry kiedyś wzrok posiadał,
 Jak tylko przywdział frak wyszyty świetnie,
 Z natłoku wrażeń ociemniał kompletnie.

Pana I. oczy są dziwnej natury,
Ze zaś ma język jak z hamburskiej skóry,
Więc się dogada, nie raz aż do zwady,
Nie mogąc znaleźć drzwi do rejterady.

K. ma wzrok mglisty, ile mi się zdaje,
Bowiem kolegów szkolnych nie poznaje,
Jeśli ci nie są ogorzałej twarzy,
Lub też krewnymi, wyższych dygnitarzy.

Pan L. posiada oczy wysmienite,
Dojrzy pieniądze najgłębiej ukryte;
A choć wartości ich nie umie cenić,
Gotów jest zawsze na weksel je zmienić.

Widzisz więc tedy, kochany doktorze,
Jak pomoc twoja zbawienną być może;
Spiesz więc z ratunkiem do tych wad potoku,
Póki sam jeszcze nie straciłeś wzroku.

Faustyn Łopatyński (*F. Ryś*).

Jezus Marya! Boże święty!

Dziwisz się i czynisz wrzawę,
Ze nikt się z tobą nie wita;
Przypomnij sobie Warszawę:
Okradłeś kasę i kwita.

To świat na tym koniu hasa?
Jezus Marya! Boże święty!
Co mi to była za kasa,
Sto złotych i cztery centy.

M. Rodoć.

NOWA NARODOWOŚĆ.

Choć w Paryżu się nie rodził,
Choć w Paryżu się nie chował
I do obcych szkół nie chodził,
Tak w obczyźnie zasmakował,
Że, od mowy do zwyczaju,
Wszystko dzikim widział w kraju.

Po francuzku się więc nosił,
Po francuzku tylko gadał,
Po francuzku Boga prosił,
Po francuzku się spowiadał.

Francuzkiego pił szampana,
Z francuzkimi belfamami,
Po francuzku ciał kankana,
Zrzułował się z francuzami.

Więc, gdy umarł, na mogile,
Co mu wzniesli ludzie szczerzy,
Napisali tylko tyle:
„Tu *litewski francuz* leży.“

Korwin.

SYLWETKI Z GALERYJ KRAJOWYCH.

II.

Ciocia Doliniecka.

Pod powyższym nazwiskiem znaną była wszystkim w mieście X. kobieta, słusznego wzrostu i dobrej tuszy.

Dla czego nazywano ją ciocią, kto pierwszy na ten urząd ją zamianował,—nikt o tém nie wiedział i nikogo to nie obchodziło. Tytuł jednak trafnie musiał być dobrany, skoro zrosł się niejako z nazwiskiem pani D. i przetrwał szereg lat długi.

Czy był on zasłużony? Sądzę, że tak.

Ciocie bowiem, ale czystej rasy, to jest: nie obdarzone własnymi dziećmi, ani eksploatowane przez... mężów, są zazwyczaj wcieleniem dobroci, pobłażania i wyrozumiałości.

A taką właśnie była Doliniecka.

W zakładzie kawo- i herbato- dajnym, której pod jej firmą od niepamiętnych egzystował czasów, dziwna między gośćmi i właścicielką panowała harmonija. Nie słyszałeś tam nigdy ani z fanfarońska wydawanych rozkazów, ani podniesionego w skutek niezadowolnienia głosu.

Co prawda, kawiarnia cioci D. nie posiadała przynęty dla lubiących zadawać szyku osobników, począwszy od twardych krzesel i prostych stoli- ków, z których już dawno zeszła farba ze szczę-

tem, a kończąc na dodatkach do herbaty i kawy, składających się wyłącznie ze śmietanki i cytryny,—wszystko tam było skromne, wszystko na konieczny, że się tak wyrażę, użytek przeznaczone.

To téż, choć w kawiarni było ciągle gwarno i dymno, choć często wolnego miejsca znaleźć nie było sposobu, zawsze panowała przyzwoitość i ta patryarchalna atmosfera, jaką tylko w kółkach rodzinnych odczuć możemy.

Artyści, literaci, urzędnicy, kupcy, młodzież kształcąca się, jednym słowem najrozmaitsze elementy, przestępując próg kawiarni, poddawały się niejako panującemu w niej tradycyjalnie rygowi.

Nieprzyzwoite dysputy, płaskie koncepta, śmiechy i krzyki, tak pospolite w podobnego rodzaju zakładach, u cioci D. nie praktykowały się nigdy.

Wykraczających bowiem przeciwko zwyczajowi, pani D. umiała zawsze z wielkim taktem na właściwy tor sprowadzić.

Raz np. jakiś wielki człowiek, do małych interesów, zażądał dyktatorskim głosem kawy z romem.

— Nie trzymam romu — była odpowiedź gospodyni.

— No, to dajcie z koniakiem.

— Ani koniaku nie trzymam.

— To jakżeż u was kawę piją?

— Ze śmietanką.

— Ja nie cieję.

— Być może.

Opamiętał się widocznie fanfaron, że w słabym potwierdzeniu tém kryje się gorszy jeszcze epitet, gdyż wyszedł spiesźnie, przeprowadzony szyderskimi spójrzeniami obecnych.

Jeżeli podobne powyższemu indywiduum nie cieszyły się względami i uprzejmością ze strony gospodyni, to natomiast ci wszyscy, dla których zakład jej był jedynym bodaj *posilnym* przytułkiem, szczególniejszej doznawali troskliwości.

A tak wprawnie, nie patrząc nihy, umiała ciocia odróżnić pijących kawę dla strawności od trawiących takową z musu, że ile razy trafił się gość, który przyszedł do niej na *obiad*, tyle razy słyszałaś wydawane przy bufecie dyspozycje: „Monisiu, temu, co usiadł tam a tam, daj tój bułki“—co miało znaczyć: grubo krajanęj.

Stali jej goście, a takich było bardzo wielu, posiadali kredyt nieograniczony. Przychodzili jak do domu, pili kawę, jedli bułki i najczęściej sami swoje długi zapisywali... kredą na szafie. Szafa ta była bodaj jedyną... buchalterią, jaka się prowadziła w zakładzie; ciocia bowiem rozrachunków z nikim nie miała, płacąc zazwyczaj gotówką za wszystko.

Pomimo wielkiej religijności, nie była dewotką. Do kościoła chodziła wprawdzie co dzień, ale na chwilę, po to tylko, aby pacierz poranny zmówić. Pod tym względem była bardzo skrupu-

latną, ile razy bowiem, zwłaszcza w późniejszym wieku, pozwoliła sobie usnąć dłużej i nie była, w skutek tego w możności odwiedzić kościoła, tyle razy robiła sobie wymówki: „próżniak ze mnie, strach jaki próżniak, żeby się też tak długo w łóżku wylegać.“

I niczyje perswazyje nie tu nie pomagały: gderała siebie staruszka całemi godzinami, jeżeli jakiś dobry uczynek nie zajął jej uwagi i nie pozwolił zapomnieć o... próżniactwie owém.

Okoliczności, co prawda, do odwrócenia uwagi w inną stronę nie brakło jej nigdy, pominawszy fachowe żebractwo, które bezustannie karmiła, poiła i obdarzała u drzwi swoich; wspierała jeszcze i wielu takich, którzy nigdyby po jałmużnę nie ośmielili się ręki wyciągnąć.

A robiła to zazwyczaj z taką delikatnością, w tak ściślejszej tajemnicy, iż oprócz niej i obdarzonego nikt więcej o tém nie wiedział.

Niektórzy, co ją znali bliżej, domyślali się czasem, że ciocia musiała jakąś gorzką łzę otrzeć, lub nieszczęście zażegnać; widzieli ją bowiem wówczas więcej ożywioną, do dysputy skorszą, a nawet uśmiechniętą dobrodusznie; ale co ją w ten nienormalny stan wprawiło, nikt nigdy określić nie był w możności.

Nie sympatyczna, jaka łączyła ciocię z ogółem jej bliższych i dalszych znajomych, stałych i niestałych gości, wystąpiła dopiero w całej sile, gdy pani D. śmiertelnie zasłabła.

Odwiedzinom przeróżnym i zapytywaniom o jej zdrowie, literalnie nie było końca.

Co prawda, to i staruszka nie pozostała pod tym względem w długi i ją też interesowało, co się w zakładzie dzieje: czy był pan X. lub Y., który codziennie jej mówił: „dobry wieczór“ lub

„dzień dobry“, czy są wszyscy należycie obsłużeni, czy nie szemrzą na co.

— A czy pytają o mnie, Monisiu?

— Wszyscy, droga pani, wszyscy,—a tak za-
lują panią, jakby matkę rodzoną.

— Niech im pan Bóg da zdrowie. Trzeba umierać, Monisiu, tam lepiej będzie....

Przy tych słowach zamknęła usta i nie otworzyła ich już więcej.

W testamencie, jaki przed śmiercią zrobiła, szczególniej uwzględnieni zostali prawdziwie biedni i ci, którzy jej wiernie służyli.

A było, z czego obdzielić, gdyż nieboszczka, spędziwszy skromnie a pracowicie żywot cały, uciulała sporą, jak na jej stanowisko, sumkę.

Podczas pogrzebu, który był wymownym dowodem, iż na każdym szczeblu drabiny społecznej można sobie zjednać serc tłumy, byle być człowiekiem, następującą udało mi się podsłuchać rozmowę:

— Więc czegoż pani zazdrości nieboszczce?

— Tego, że w całym tym tłumie znajdują się tylko serca *ujęte*, nie zaś *najęte*.

Trzy chwile z życia zgadzających się jednogłośnie akcjonaryuszów i pewnego większości dyrektora.



Zbiczanie.



Kierowanie.



Wykierowanie.

LISTY
 Z PRZYŁĄDKA DOBREJ NADZIEI.

Wa - Lit - No

10 Maja.

Szanowny panie!

Przede wszystkim czuję potrzebę przedstawienia się panu. Jestem przyjacielem i kolegą „Murzyna literackiego,” który, za pośrednictwem „Argusa,” przesłał już panu parę listów z miejscowości, u góry pisania tego wymienionej. Kolenzeństwo nasze stanowi wspólna podróż, którą, od lat już paru, odbywamy na statku, zwanym „Cierń,” po morzu, w języku tutejszych wybrzeży nazywaném „U-to-pi-ja.” Ostatnia nazwa ta pochodzi ztąd, że mieszkańcy tutejszych wybrzeży nadzwyczaj lubią w domu siedzieć i to za takimi parawanami, któreby im rozległe lub wyniosłe widoki jak najszczelniej zasłaniały. Wszelki też rozległy i wyniosły widok, jako to: morze i góry, określają oni jednakową nazwą „U-to-pi-ja,” a tych, którzy, bądź puszczają się na wartkie i burzliwe fale, bądź wspierają się po stromych i ślizgich ścianach, z gestem, wyrażającym podziwienie i litość, zwą: „U-to-pi-ki-nie-ry,” czyli waryaci, z góry już na utopienie są skazani.

W podróży naszej zwiedzaliśmy miejscowości, noszące imiona: Pracydos, Kłopotatis, Obskurantodos, Obnówiskos i t. p. Do jakiego portu, dla dłuższego osiedlenia się, zawiniemy, trudno wiedzieć. Chcielibyśmy, aby nim był: *Vincere*, ze słyszenia tylko znane nam dotąd miasto, cudownej podobno piękności, lecz do którego dopływ po tutejszem morzu tak jest trudnym, że od wielu już pokoleń nikt z mieszkańców kraju tego na własne oczy go nie widział, a z tradycyi tylko jest wiadomém, że praojcowie żyjących obecnie ludzi dość często w niem bywali.

Bardzo za to prawdopodobném jest, że ostatecznym kresem podróży naszej będzie skalista i nieponętna „Dys-cy-pli-ni-ja,” dziwna wyspa, na gruntach której, jak gdzieindziej, żyto lub pszenica, z żyznością niesłychaną rodzą „Dys-cy-pli-ny,” czyli narzędzia, służące tu do wytwarzania i podtrzymywania cnót rodzinnych, obywatelskich i wszelkich innych. Opowiadano mi, że naturalny ten produkt wyspy „Dys-cy-pli-nii” bywa tu wyrabiany, doskonalony i subtelizowany w sposób najrozmaitszy. Niższe warstwy społeczeństwa konsumują go często *in natura*, czyli w postaci takiej, w jakiej pierwotnie wytworzyła go sama przyroda, a przedstawiającej kształt naszej naprzykład pałki, w kilka długich, elastycznych wisiadeł zaopatrzonej.

Dla klas jednak towarzyskich wyższych, istnieją specjalne fabryki, w których wisiadła owe wyrabiają się z lotnych albo płynnych materyj, nazywających się: Smut-ki, Nę-dza, Ża-le, Wsty-dy, Ł-zy i t. p. Ku użytkowi U-to-pi-ki-nie-rów, zdwaja się tylko doza materyi owych i przyspiesza się znacznie działalność poruszających je sprężyn.

Tymczasem siedzimy jeszcze sobie w Wa-Lit-No, i dosyć się nam w miejscu tém podoba. Gdzie bo pójdziesz, na co spojrzysz, wszędzie ciekawość i osobliwość jakaś. Jedną z największych osobliwości takich, jest tu bez wątpienia to, że społeczność tutejsza nie stanowi całości, złożonej z części solidarnych z sobą, dobrze spojonych i za równe sobie uważających się, ale niby garść zeszlęj ziemi rozpada się na grudki, które usiłują jak najdalej od siebie pozostawać; a gdy wypadek przybliży je ku sobie, nadymają się jak mydlane bańki i kolą się wzajem, jak jeże. Separatystycznym i kolącym tém usposobieniem odznacza się szczególniej ta grudka społeczeństwa tutejszego, którą tu ogólnie nazywają A-rys-to-kra-cyą, jakkolwiek nazwa ta, wedle wyobrażeń ludów ucywilizowanych, najniewłaściwiej jest jej nadawaną. U ludów ucywilizowanych, warstwa społeczna, nazwę tę nosząca, spełnia zawsze, około maszyny, wyrabiającej byt powszechny, niejaki, a tu i ówdzie dość ważne nawet, funkcyę. Tutaj zaś, przeciwnie, zobowiązuje ona, stanowczo i nieodwołalnie, tych, którzy ją noszą do niespełniania żadnej najlżejszej funkcyi, ktoraby była czém inném, jak siedzeniem w domu za ciemnym parawanem albo latanie po świecie na skrzydłach motyli. Siedząc za ciemnymi parawanami i latając po świecie, ludzie ci, w szczególny sposób, upadają na wzroku, a zarazem tracą wszelkie upodobanie do rodzinnej swęj ziemi. Zdarza się często, że najstraszniejsze albo najwspanialsze fenomeny rodzą się, rosną i giną tuż przed ich nosami, a oni tego ani spostrzegają; prawidłem zaś jest słabém i niemal bezwyjątkowém, że od ziemi swęj jak mogą uciekają. Dla tego to, zapewne, niektóre gazety tutejsze dały im zabawną nazwę: „U-cie-ki-nie-ry,“ a kiedym się niedawno zapytał jednego z redaktorów gazet tych, coby takiego nazwa owa oznaczała, szukał on długo w różnych odpowiednich dykcyonarzach, aż nakoniec wytlómaczył, że znaczy ona mniejwięcej to samo, co u nas: samolubi i tchórze. Zdziwiłem się bardzo, że Wi-lit-no-wie (takie imię nosi lud, którego Mil-no-hu jest stolicą) tak brzydko nazywają swych arystokratów; na co redaktor gazety owęj, dotknięty zapewne w narodowęj swęj miłości własnej, odpowiedział mi dość szorstko, abym nie mniemał wcale, że ich „U-cie-ki-nie-ry“ żadnych już wcale zalet nie mają. „Są oni naprzód, mówił, bardzo pobożni, czego dowodzą najwymówniej przez nadzwyczaj punktualne wykonywanie w pewnych przepisanych porach dnia i w pewnych przepisanych miejscach, pewnej przepisanej sumy przepisanych min i gestów.

Następnie, są oni głęboko wierzący, bo pomimo, że niektórzy „U-to-pi-ki-nie-ry,“ zajmujący się specjalnie nauką, zwaną Zy-fi-ka, twierdzą inaczej, trwają oni niewzruszenie przy tradycyą uświęconém przekonaniu, że gdy deszcz pada, to aniołowie płaczą, a gdy za jednym zachodem i deszcz pada i słońce świeci, to ktoś tam (redaktor sam nie pamiętał dobrze: kto?) w niebie masło bije. Wierzą też oni świecie w to, że bóstwa (Wi-lit-nowie mają ich tyleż przynajmniej, co nasi starożytni Grecy i Rzymianie) zstępują osobiście na różne miejsca ziemi,

jako to: na drzewa, na wzgórza, nad strumienie i dotknięciem swém każdemu z miejsc tych wydają patent na doktora medycyny i chirurgii. Wprawdzie, improwizowanym akademijom tym, sprzeciwia się energicznie pewien gatunek U-to-pi-ki-nie-rów, nazywający się Na-tu-ro-znaw-do-ty, ale nie nadwiera to wcale głębokiej wiary U-cie-ki-nie-rów, którzy zresztą tak są przekonani o jej nierozłączności z tytułem i godnością U-cie-ki-nier-skie-mi, że gdy nawet wiarę tę utracą, to ją udają. Na-tu-ro-znaw-do-tów zaś mają oni w nieskończonej pogardzie i nienawiści, dla tego naprzód, że bywają oni najczęściej nizkiego pochodzenia i dla tego najbardziej, że za pomocą różnych dyabelskich narzędzi, jako to: retort, skalpeli, teleskopów, mikroskopów i t. d., usiłują przewracać wszystkie ciemne parawany, a U-cie-ki-nie-rów zrównać w prawach i godnościach nie tylko z samymi sobą, ale i z innymi klasami społeczeństwa, chociażby nią była klasa, najniżej ze wszystkich uważana a nazywana tu Dy-da-mi.—U-to-pi-ki-nie-ry są tak zuchwali, że śmiały twierdzić, jakoby Pan Bóg z jednej gliny ulepił i U-cie-ki-nie-ra i Dy-da, a posuwają się w tém tak daleko, iż częstokroć mniemają i głoszą, że Dy-dy, pomimo swych wielkich przywar, są jeszcze znośniejsi i użyteczniejsi od U-cie-ki-nie-rów. Usłyszawszy to wyznałem oświecającemu mię redaktorowi, że z całego serca podziwiam cierpliwość i wspa-niałomyślność U-cie-ki-nie-rów, którzy wymowny tego dają dowód, skoro ludzi z tak bezbożnymi i przewrotnymi pojęciami dotąd z powierzchni ziemskiej nie zrzucili.

— Ba!—odpowiedział mi redaktor—gdyby mogli...

I nie dokończywszy zdania swego pogrążył się w zadumie, z której wyrwałem go prozbą, aby mi dalej chciał wyliczać zalety U-cie-ki-nie-rów. Myślał długo, aż w końcu z tryumfem zawołał:

— Umieją oni mówić wszystkimi prawie językami afrykańskimi....

— Brawo!—zawołałem,—ale powiedz-że mi pan z łaski swojej, co oni robią i jak czas swój przepędzają?

Odpowiedź była długa ale—nie chcąc przeproszać uszu pana—powtórzyć jej nie mogę. Przekonałem się z niej tylko, że sposób przepędzania czasu U-cie-ki-nie-rów tutejszych podobnym jest do tej jamy, nad którą siadywała starogrecka Pytya, a której wyziewy czyniły ludzi bardzo szczęśliwymi, tym mianowicie gatunkiem szczęścia, który jakiś poeta polski określił w wierszu: „Najszczęśliwsi głupi!“

Zresztą, wiele przyczyn składać się zdaje na to, aby w podobny sposób szczęśliwych ludzi w kraju tym było wielu. O jednej z nich pomówię z panem w liście następnym, pozostając tymczasem życzliwie mu oddanym, choć ponuro brzęczącym

B a k i e m.

M i l - N o - H u

w Maju.

Kochany kolego!

Im bliżej przypatruję się stosunkom miejscowym, tém więcej utrwała się we mnie przekonanie, że mieszkańcy „Przyłądka“ mają wszelkie prawo nazywać siebie... europejczykami.

Począwszy od fikcyjnych bankructw, a kończąc na wykształceniu młodzieży, do którego także przymiotnik powyższy, z kompletném zadowoleniem ludzi zdrowo na rzeczy patrzących, da się zastosować, wszystko tu jest na nasz ład.

Kupiec, zbankrutowawszy kilka razy, staje się... szanownym, a młodzieniec, uzdolniony do wszystkiego, z wyjątkiem jakiegokolwiek specjalnej pracy—szanowanym.

Tak dobrze tu, jak w Europie, wykształcenie specjalne uważa się za żadne; inżynier, doktor, prawnik etc., są ludźmi nie wykształconymi, lecz... fachowcami.

Wykształcony człowiek prawdziwie jest ten, który wszystko potrafi, nie umiając właściwie niczego.

Dla tego téż, za najwyżej wykształconych uważani są arystokraci; posiadają oni bowiem po parę, a czasem i kilka języków, w ten sposób, że, pisząc którymkolwiek językiem, robią nieomal tyle błędów ortograficznych w każdym wierszu, ile jest przykazań boskich.

Umieją liczyć co najmniej do tysiąca bez omyłki i prowadzić bardzo wyczerpujące dysputy z historyi... swego życia, geografii... swoich posiadłości, genealogii swoich... koni i estetyki, zawartej w biustach, mówiąc słowami Kalchasa, „nadobnych cór Koryntu.“

Ponieważ przykład zwykle idzie z góry, nie więc dziwnego, że i inni mieszkańcy Mil-No-Hu starają się kształcić siebie i dzieci swoje na sposób arystokratyczny, aby mieć tym sposobem utworowaną drogę do łatwego przez życie transportu.

Niektórzy z nich zbierają już nawet smaczne owoce swój na tém polu pracy. Poznałem np. w tych dniach dyrektora banku, który przeznaczony był pierwotnie na stróża mądrości, w Zenda-Weście zawartej, czyli, mówiąc po naszymu, na rabina; dosyć długo nawet poświęcał się studjom religijnym i dzięki tylko swój ograniczoności, zmuszony był wziąć się do czego innego.

Obecnie, ponieważ z łatwością udało się zapomnieć to, co zdobywał ongi z mozołem, a zarazem nie udało mu się zdobyć nic nowego—jest dyrektorem. Za trzymanie rąk w kieszeni i dochodzenie: dla czego 2 a 2 cztery, nie zaś pięć, posiada wysokie wynagrodzenie i niskie ukłony.

Drugi zaś, który niedawno jeszcze stręczył gościom hotelowym... *co dobrego*, trzymając przy tém żonę na *garnku z węglami*, aby mu, sprzedając w zimie *bób gotowany*, nie zamarzyła, zauważył, że specjalność licha warta, został więc: adwokatem, fabrykantem... sukcesorów, wy-

szukiwaczem... świadków, doradcą wielkich panów i podrabiaczem rozmaitego rodzaju dokumentów,—a wszechstronna ta działalność tak mu dobrze zrobiła, że dziś już ma domy, jał faetonem, a żonę nazywać każe... *damą*. Chodzi z hrabiami pod rękę i uczy dzieci polsksku, o tém nie ma co i mówić.

Pozycya pociąga za sobą pierwsze, a drugie jest prostym następstwem pierwszego.

Inny znowu, którego jakiś czas miano nawet za arcy-*noblwego* przybysza, ponucieranie nosa po szlachecku, rodziło, w umysłach niektórych, pewne, co do tego punktu wąpliwości, otrzymał od matki list następującej treści:

„Luby Lolu! Modły moje zostały wysłuchane: posada pomocnika pisarza u wójta gminy nareszcie wakuje; zaniósłam mu dwie kury i obiecał nie oddać jej nikomu, jeśli w ciągu tygodnia przybędziesz. Tak więc twoje najgorętsze pragnienia ziszczą się wkrótce, bo jestem przekonana, że kto był tak, jak ty, bity, ten wkrótce pisarzem nawet zostać jest w stanie. Ndziw się, że list tak krótki, ale za parę jaj zakrystyan pisać więcej nie chce. Przybywaj więc przybywaj, bo taki los dwa razy nie trafia się w jednym życiu. —Twoja Matka *Agata*.“

Rzecz prosta, że pan ów nie pośpieszył do matki, gdyż, posiadając oprócz kwalifikacji jakie daje piśmienność, inne jeszcze, dorobił się pozycyi, w obec której nawet sam wójt nie ośmieli się żenić głowy z czapką.

Powyższe przykłady, sędzę, że cię dostatecznie przekonają, iż na „Przylądku“ równie dobrze, jak i w Europie; można zrobić karierę, byle być człowiekiem do wszystkiego i idącym do celu, nie przebierać w środkach.

Bądź zdrow i nie zapominaj o twoim

Murzynie literackim.

M i l - N o - H u

w Czerwcu.

Kochany kolego!

Dzięki oględności, z jaką się rekomenduję nowoznajomym, zostałem wczoraj wprowadzony na obrady Fumy. Wesoła rzecz, jak honor kocham. Parlament francuzki, w porównaniu z tą instytucją—zero—szczerze mówię. Żebyś ty wiedział, jaki tu robią harmider, to aż dusza się raduje; dziesięciu Wagnerów ze swoją muzyką przyszłości za sto lat nawet nie dokażą tego, co nie wielka garstka Chamitów (plemię nie golone, a mimo to posiadające sztukę

golenia w wysokim stopniu), skoro na stole Fumy znajdzie się jaki projekt, nie przedstawiający dla nich wyłącznego interesu. Na obradach przewodniczy tak zwany Rozdział (*caput*).

Zkąd się wzięła ta nazwa—rozmaici rozmaicie mię informowali: jedni utrzymują, że prezes Fumy dla tego się nazywa Rozdziałem, iż, jako człowiek, zaszczycony zaufaniem ogółu, powinien przede wszystkim rozdzielać *prywatę* od *rzeczy publicznych*; inni zaś—że z urzędu swego powinien rozdzielać (sposobem, jaki sam za właściwy uzna) zbyt zbliżających się zapaśników, aby do *dotykalnych* nie dopuścić argumentacyj. Sam Rozdział w niektórych obradach Fumy nie posiada głosu, tylko zbiera i liczy głosy członków.

Nie idzie jednak za tém, aby nie wolno mu było mówić,—przeciwnie, obowiązany jest mówić nawet bardzo wiele, zwłaszcza w razach wyjątkowych, to jest wtedy, gdy się na jego propozycye nie zgadzają od razu.—Taki wypadek miał właśnie miejsce podczas posiedzenia, na którym byłem obecny. Chodziło o rzecz, na pozór błahą, o psie ogony. Któs zrobił projekt, aby wszystkim psom w mieście uciąć ogony. Powstał ogólny gwar. „To barbarzyństwo!”—wołali jedni; „to niegodziwość!”—krzyczeli drudzy.—„Cóż to: czy tu Europa“ (piękny dla nas komplement) wołali inni.—„Panowie!—zabrał głos Rozdział,—przede wszystkim obowiązany jestem wam wyłożyć motywy, skłaniające mię do poddania tej kwestyi pod waszą dyskusyę, i tak: gdyby psy nasze używały ogonów tylko do opędzania much, jak to robią inne zwierzęta, byłbym zaraz stanął w ich obronie i starał się przekonać projektodawcę o niewłaściwości jego żądania; ale, wiadomo wam panowie, że psy, nasze naturalnie, o innych bo wiem nie mówię w tej chwili, umieją jeszcze, w sposób bardzo znaczący, okazywać ogonem swoje... usposobienia—swój malkontentyzm, że tak powiem—przyznacie zatém, jak sądzę, że projekt odjęcia im tego przywileju, jest rzeczą zasługującą na uwzględnienie; wszak nie powinniśmy, panowie, znosić tego, aby nam psy ogonami miały kiwać. Otóż, po tém, co powiedziałem, sądzę, że opozycye z waszej strony ustaną, tém bardziej, jeżeli dodam, iż jest to kwestya drażliwa, panowie, dla czego,—to moja rzecz; możecie mi jednak wierzyć, że jeżeli my sami nie uchwalimy dziś tego, to znajdą się tacy, co psom naszym na własną rękę po- obcinają ogony i... słuszność będzie po ich stronie.“

Nie mogąc zrozumieć dla czego psie ogony mają stanowić drażliwą kwestyę, zwróciłem się z zapytaniem do obok siedzącego Chamity, jak to sobie należy tłumaczyć.

— Uch! bardzo prosto, wun chce coby buło tak, to wun zaraz co to *drażlna kwestya*, mi takie drażliwoszczów to mamy dziesięć razy na niedzielę; mi mieli las, a wun chciał coby buł park, to wun zaraz co i w Gi-Rigigi park i w Sza-War-Wie park, to i u nas powinien bycz park, i co kiedy my nie zachcemy, to także będzie drażliwa kwestya, to my i zachcieli.

— I macie park?

— Daj pan spokój, nimamy ani las, ani park.

— A cóż macie?

— Co? wiadomo.... drażliwe kwestye.

— O! Bismarku — pomyślałem sobie — jeśli myślisz, że jesteś unikatem, toś się grubo złapał.

Kończę obecny list zapytaniem: czy nie macie tam do zbycia choćby fabrykowanej cywilnej odwagi, tu możnaby ją było sprzedawać po wysokiej nawet cenie, tylko jeżeli przez drogę nie zjełczeje lub się nie rozłoży.

Twój Murzyn literacki.

PRYZWYCZAJENIA.



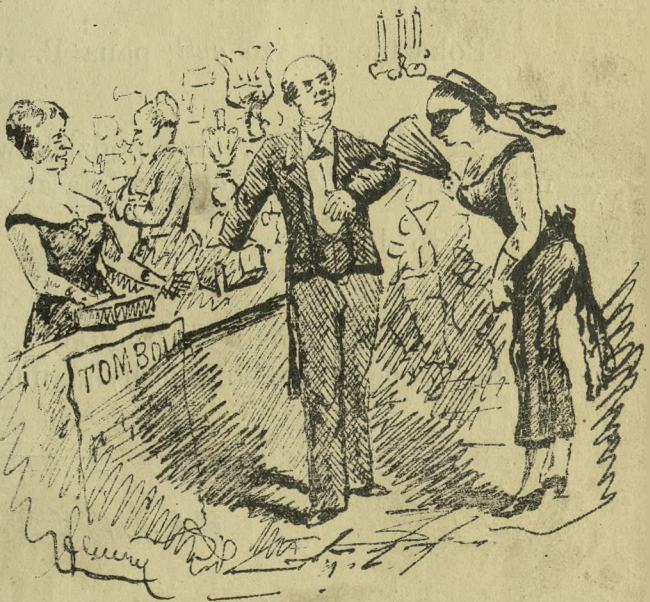
Nie bierze mniej jak dziesiątkę.



Nie bierze mniej jak rubla.



Nie daje reszty z... dziesiątki.



Nie daje reszty z... rubla.

TO I OWO.



POWIADAJĄ



Ź Ę:

⌘ Książę X., aby nie być posądzanym przez Europę o zbyt jawną przyjaźń dla Niemców, u których swoje dobra zastawił przed rokiem, lasy, w tych dobrach znajdujące się, sprzedaje w tych dniach Francuzom.

Po tym fakcie nikt nam chyba nie zarzuci, że nie mamy dobrych obywateli kraju i niepospolitych dyplomatów.

⌘ Od czasu, jak pan J. Penkala otworzył w Wilnie magazyn *pour les dames*, pękają: współzawodnicy ze złości, kieszenie ojców z musu i zgoda małżeńska z różnych powodów, — tylko interes pana P. nie ma zamiaru zrobić sobie téj przyjemności.

Pokazuje się, że *gust* pana P. różni się znacznie od... naszego.

⌘ Hrabina Y., aby podziękować Bogu za odziedziczony po bracie kilkunastomilionowy spadek, posłała na S-to Piętrze 20,000 Rs.

A to dopiero wdzięczne serce.

⌘ Pan Szuman dla tego obstaWił kompas latarniami, aby wszyscy spacerujący w ogrodzie botanicznym, mogli nawet w nocy widzieć... która godzina.

KAŻDY PRZY SWOJEM.

Mówią: „kochać się wciąż w innéj,
To rzecz płocha, nawet zdrożna.“
Jabym twierdził: „Stokroć gerzej,
Kiedy kochać już nie można.“

W Z Ó R S T Y L U

(wyjatek z listu poufnego.)

„ ja z nim poznałomiła się u pani G. i bardzo podobał się. My często hulali razem, prawili majówki, da i bez tego on często stawiał: ci kawę, ci herbatę ze śliwkami, ci co niebądź. Zdawało się, co za mnie poswata się, ale potem ja przekonała się, co to nizki człowiek i co on miał zadnie myśli, bo na innéj ożenił się, a mnie zostawił z klontwami, w które ja, jak dura, wierzyła.....“

?

Kwestya sporna: czy się można
Kochać jeden raz, czy więcej?
Jedni przeczą z smutną miną,
Drudzy twierdzą najgoręcej.

To rzecz pewna, że ci, którzy
Drugi raz się zakochali,
Tym już idzie jak po maśle:
Trzeci, czwarty i tak dalej.

Wynałazki i odkrycia.

— Z obserwatoryum, założonego nie przez Poczobuta, dostrzeżono kometę z niewielkim, lecz pięknym, ogonem, zmierzającą w kierunku konstelacyi Żelaznej Chatki, która (kometą—nie Chatką) w powrocie swoim nie zmieniła elipsoidalnego biegu, jakkolwiek w ogonie okazały się pewne uszkodzenia. — Przyczyna nie wiadoma.

— Odkryto, nie przez Flouransa, że dla mieszkańców gęsto zabudowanych miast, przywykłych do oddychania wylizami z zanieczyszczonych rynsztoków, świeże powietrze jest szkodliwe, w skutek czego wszystkie punkta przymiejskie, obfitujące w takowe, oddano na pastwę spekulacyi.

U DOKTORA.

Doktor. — Proszę panią pokazać mi jęczyczek.

Pacyentka. — Ależ, panie konsyljarzu... jakże to można, doprawdy... nie, jak mamę Kocham, to nieprzyzwoicie; już, chyba kiedy tak koniecznie, to pokażę.... figę.

X. — Tyle wydałem na tytuł, że nie wyobrazisz sobie i żeby mię choć kto przez żart hrabią nazywał, to dopiero społeczeństwo.

Y. — A to wiesz rzecz dziwna, bo mnie djabło łatwo dostał się tytuł... bankruta—i nikt mię inaczej już dziś nie nazywa.

W KSIĘGARNI.

1.
Interesant. — Panoczku, ci liteuskich książków nie ma?

Księgarz. — Litewskich książek nie wolno sprzedawać.

Interesant. — A! panoczku, tak ja jutro przyjda.

2.
Interesant. — Proszę o higienę d-ra Błagi.

Księgarz. — Błagi? nie znamy takiego autora; mamy w tej materii nową rzecz d-ra Reklama.

Interesant. — No, niby to blaga a reklama, to nie wszystko jedno.

Odpowiedzi wydawcy.

Panu J. K. Z nadesłanego dyalogu nie mogliśmy skorzystać, gdyż był on bezimienny.

Pani J. S. *Niby-nekrolog*, ponieważ ma nie *niby*, lecz *prawdziwy*... dowcip; drukowalibyśmy, ale nazbyt jest drastyczny.

Panu Z. S. „Przegląd Katolicki“ nie udaje, niech pan wierzy, on jest naprawdę...

Panu L. L. Udaj się pan do doktora Cywińskiego, lub przynajmniej kup pan sobie okulary u pana Maleckiego, może to pomoże; my *otwieramy* tylko oczy, ale nie podejmujemy się żadnych innych operacyj.

Panu C. (w Mińsku gubernialnym). — Z otrzymanego artykułu nie zrobimy użytku, z przyczyn od nas nie zależnych. Prosimy o pamięć.

D-rowi M. M. Gdyby nie tytuł, nigdy byśmy pana nie posądzili o znajomości z zakładami naukowymi, choćby z widzenia. Czy nie mistyfikujesz nas pan tylko, nazywając siebie doktorem, zamiast specjalistą od baniek, pijawek i czyszczenia brody.

Panu Q. R. Nie zgadzamy się ze zdaniem szanownego pana, że między członkami towarzystwa wzajemnego kredytu, którzy na wszelkie zapytania mieli jedną tylko odpowiedź: „po dawnemu!“ „po dawnemu!“—a stadem bezmyślnych indyków nie ma żadnej różnicy; a nie zgadzamy dla tego, że indyki robią harmider na gwiznięcie... byle ulicznika, gdy tymczasem członkowie owi bołboczą na kiwnięcie nie byle...

Nakładem niżej podpisanego

WYJDZIE WKRÓTCE Z DRUKU

ZBIOREK PRAC SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNYCH

P. T.

„CERBER”

Ktoby więc posiadał pióro lub ołówek do zbycia, raczy takowe złożyć

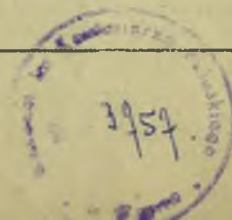
W KSIĘGARNI

E. ORZESZKOWÉJ I S-ki.

UWAGA I. Pióro powinno być umoczone w dowcipie i satyrze, suche nie ma dla niżej podpisanego żadnej wartości. Ołówek zaś powinien być zatemperowany na ostro, inaczej nie przyda się.

UWAGA II. Nazwiska współpracowników zachowują się na wyłączny użytek wydawcy. Artykuły nie podpisane, nie będą zużytkowane.

Alfabet.



KURJER BIBLIOTECZNY.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NÓT E. ORZESZKOWEJ I S-KI

poleca następujące dzieła:

- Bain Aleksander.** Nauka wychowania, przekład z angielskiego. Warszawa, 1881. Rs. 2.25
- Balućki M.** Romans bez miłości, szkic powieściowy z gale-ryi serc kobiecych. Warszawa, 1881. Rs. 1
- Błoch Jan.** Wpływ dróg żelaznych na stan ekonomiczny w Rosyi. 5 tomów i atlas. Warszawa, 1879. Rs. 35
- Bobrzyński M.** Dzieje Polski w zarysie. Tom I z przed-
płatą na II-gi. Warszawa, 1880. Rs. 4
- Bykowski P. J.** Trzy epizody z dawnego życia szlacheckie-
go. Warszawa, 1879. Rs. 1.50
- Chmielowski Ks. Ant.** Kazania na niedziele i święta całego
roku, miane w kościele św. Krzyża w Warszawie. T. I.
Kraków. Rs. 3
- Chmielowski Piotr.** Kobiety Mickiewicza, Słowackiego i Kra-
sieckiego. Warszawa, 1881. Rs. 1; w ozd. opr. Rs. 1.50
- Chodźko Ignacy.** Pisma. 3 t. Wydanie nowe z portretem
autora. Wilno, 1881. Rs. 5
- Collins Wilkie.** Siła przeznaczenia (Armada), powieść.
Tłómaczenie z angielskiego. 3 t. Warsz. 1881. Rs. 3
- Czesław.** Poezye. Tomik II. Kraków. Kop. 60
- Danilewski Grz.** Dziewiąta fala, powieść. 3 tomy. Warsz.,
1880. Rs. 2
- Dzieduszycka.** Książka młodej kobiety. Warsz. 1881. Kop. 60
- Encyklopedia wychowawcza,** pod redakcją: J. T. Lubomir-
skiego, E. Stawiskiego, S. Przystańskiego i J. K. Ple-
bańskiego. Tom I. Warszawa, 1881. Rs. 4
- Flamm F.** Rzecz o wekslach i czekach ze skorowidzem
encyklopedycznym międzynarodowym. Cz. I. O wekslach
i czekach. Warszawa, 1881. Zeszyt 2 i 3 po kop. 60
- Fredro Jan Al. Hr.** Komedye. 2 tomy. Warsz. 1880. Rs. 2
- Goethe J. W.** Faust, część I i II przekład Jezierskiego.
Warszawa, 1880. Rs. 4.50
- Jankowski Edmund.** Kwiaty naszych ogrodów. Warszawa,
1881. Rs. 3.60
- Kwiaty naszych mieszkań. Warszawa,
1880. Rs. 3.60
- Kantecki Klemens.** Sumy Neapolitańskie, opowiadanie histo-
ryczne. Warszawa 1881. Rs. 1.80
- Konopnicka M.** Poezye. Warszawa, 1881. Rs. 1.50
- Kraszewski J. I.** Dwa bogi, dwie drogi, powieść współ-
czesna. 2 tomy. Mińsk, 1881. Rs. 2.50.
- Było ich dwoje, powieść. Warszawa,
1881. Kop. 60
- Lubiana, powieść. 2 tomy. Warszawa,
1879. Rs. 1.80
- Przygody pana Marka Hińczy. Warsz.,
1881. Rs. 1.20
- Ramułowie, powieść współczesna. Warsz.,
1881. Rs. 1.35
- Raptularz pana Mateusza Jasienieckie-
go, z oryginału przepisany. Warszawa,
1881. Rs. 1
- Lange Albert Fryderyk.** Historia filozofii, przełożył z trze-
ciego niemieckiego wydania Aleksander Świętochowski.
Warsz., 1881. Z 1—6 z przedpłatą za całość. Rs. 6
- Lusława.** O powinnościach matek i wpływie, jaki ze swego
stanowiska na społeczeństwo wywierac mogą.
Warszawa, 1880. Rs. 1.20
- Podzielona osada, czyli skutki rządności i nie-
dbalstwa, powiastka. Warszawa, 1881. K. 15
- Łapicki Juljan.** Stosunki gminne w Królestwie Polskim
i właściwy ich kierunek rozwoju. Warszawa, 1881. K. 75
- Majewski Erazm.** Potop biblijny i peryodyczne potopy ziemi.
Warszawa, 1881. Kop. 60
- Mostowski Adolf.** Komedye oryginalne XIII i XIV. Pani puł-
kownikowa, w 2 aktach prozą. Wykole-
jeni, w 4 aktach prozą. Warsz., 1881. Rs. 1
- Ptaszeta. Boże. Poezye. Warsz., 1881. K. 75
- Niemojewski Ludwik.** Powieści obyczajowe. 3 tomy. Warsz.,
1881. Rs. 2.50
- Pawiński Adolf.** Portugalia, listy z podróży. Warszawa,
1881. Rs. 1.50
- Pelczar Ks. Józef.** Życie duchowne, czyli doskonałość chrze-
ścijańska według najcelniejszych mistrzów duchownych.
Wyd. 3 poprawne i znacznie zwiększone. 2 tomy. Kraków,
1881. Rs. 3
- Portius Ks. J. S.** Przewodnik gry szachowej. Warszawa,
1881. Rs. 1
- Potocki Wacław.** Wojna Chocimska, poemat w 10 częściach.
Warszawa, 1880. Rs. 1.50
- Prus Bolesław.** Pisma. Tom I. Przygoda Stasia. Antek.
Powracająca fala. Michałko. Sieroca dola. Rs. 4.50
- Przestroga i rada braterska,** mającą na celu wyptępie-
nie u ludu naszego złych dążeń. Przez X. F. K.
Warszawa. Kop. 10
- Przyborowski W.** Niewieście ideały poetów polskich. Szki-
ce biograficzno-literackie. Warszawa,
1881. Rs. 1.35
- Rej Mikołaj z Nagłowic.** Wizerunek własny żywota człowie-
ka poczciwego. Według wyd. z 1560 r. wydał St. Pta-
szycki. Zeszyt I. Warszawa, 1880. Rs. 1.75
- Rehman Antoni D-r.** Szkice z podróży do południowej Afry-
ki, odbytej w latach 1875—1877. Warsz., 1881. Rs. 2.25
- Rejchman Br.** Z dalekiego wschodu. Wrażenia, obrazki-opisy
z dobrowolnej podróży po Syberyi. Warsz., 1881. Rs. 1.50
- Reusner i Plato.** Najlepsza metoda języka niemieckiego.
Warszawa, 1881. Rs. 5
- Rodoć M. (Biernacki).** Piosnki i Satyry. Warsz., 1879. Rs. 1
- Rola Antoni D-r.** Zameczki Podolskie na Kresach Multań-
skich 3 tomy. Warszawa, 1880. Rs. 2.75
- Rocznik Zbiorowy** prac naukowych na rok 1880. Warszawa,
1881. Rs. 1.20
- Rundo Dawid.** Przypowieści, legendy i myśli z Talmudu
i Midraszu. Warszawa, 1880. Rs. 1
- Scher Jan D-r.** Historia literatury powszechniej: Tom I i II
z przedpłatą za komplet. Rs. 5
- Sienkiewicz.** Pisma. 4 tomy. Warszawa, 1881. Rs. 5.50
- Smolka St.** Mieszko stary i wiek jego. Warsz., 1881. Rs. 4
- Sokoł.** Dzieje Polski według najnowszych źródeł streszczo-
ne dla dzieci. Warszawa, 1880. Kop. 60

17

J